SIR
MOSES MONTEFIORE.

Wam to którzy działaniem swéj szlachetnéj woli;
Ocieracie łzy spiesząc z pomocą niedoli,
I biednym wyświadczacie swych dobrodziejstw krocie,
Składa w ofierze utwór poświęcony cnocie.

Autor.

SIR

MOSES MONTEFIORE.

SZKIC WSPÓŁCZESNY

z

PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

PRZEZ

Leona Rappaport.

WARSZAWA.

W DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA,

Księgarza Szkół Publicznych w Królestwie Polskiem.

1849.

WOLNO DRUKOWAĆ:

z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie dnia $\frac{\textit{24 Lutego}}{\textit{5 Marca}}$ 1849 *r.*

Cenzor
P. Dubrowski.

SIR
MOSES MONTEFIORE.

Myślę, że gdyby każdy zacny—możny człowiek,
Ojcem stał się dla biednych—łzy im ścierał z powiek,
Szczęście—radość by dłużéj gościły na świecie,
Echo cierpień dla czułych tak bolesne przecież
Serce żalem przejmuje—tkliwie zabrzmi w duszy!
. . . .

Autor.

I.

Czy byłeś kiedy obecnym tradowaniu ostatnich szczątków mienia? czy obił się kiedy o twe uszy wykrzyk najsroższéj boleści, który wydaje zniszczone rodzeństwo, ogołocone ze wszystkiego, z ostatnich potrzeb

życia, i widzące przed sobą, niezmierny obszar świata i tułactwo! Jeśli się zdarzyło to kiedy tobie czytelniku! co umiesz litować się nad niedolą ludzkości, i co nie możesz być głuchym na jęk, cierpienia i echo ubolewania nieszczęśliwych, przyznaj czyś nie uronił łzy wzruszenia?

* * *

Podobna rozrzewniająca scena, miała miejsce w roku 184.., w dość obszerném mieszkaniu, przy ulicy Leszno położoném, zajmowaném podówczas przez rodzinę M.

Naprzód głowa rodziny, człowiek zestarzały nie tyle brzemieniem czasu, ile trosk na wybladłéj twarzy wyrytych, stał nieruchomy, z okiem łzą zamgloném, z załamanemi rękoma, był to posąg, nie raczéj uosobiona rozpacz.

Daléj kobieta, na któréj twarzy widocznie odbijały się ślady wdzięków, łzawe oblicze skryła w drżące dłonie. W jéj piersi tli niewieścia iskra uczucia, pozbawioną jest tego hartu męzkiego, którego najsilniejsze nawet ciosy, zagładzić nie są w stanie. To małżonka pierwszego.

I ich dziecię dziesięcioletnia dziewczynka tuli się na łono matki, bo straszy ją widok nieznajomych, co bez litości porywają własność jéj rodziców; dziecinne jéj pojęcie, zdumiewa się nad śmiałością przybyszów i obojętnością rodziców na ich samowolność.

Ponura cisza trwała przez chwilę, gdy nieszczęśliwa kobieta wniosła prośbę do tradujących, aby nie zajmowali klęcznika i portretu jéj syna.

— Nie można pani, rzekł komornik, rzeczy te objęte są inwentarzem, i pójść muszą na wspólny użytek. Franciszku, mówił daléj, zwracając się do pomocnika, weź to i zanieś gdzie należy.

Zagadnięty porwał szybko obraz, i zręcznie uniknąwszy zamachu dziewczynki, chcącéj mu wyrwać zdobycz, puścił się z nią na schody.

Tu rozpacz matki, nie znała granic, pobiegła za unoszącym jéj najdroższą pamiątkę i błagalnie dopominała się o zwrot jéj.

Ten dźwięk żalu, ta rozdzierająca rozpacz, wywołała zebranie się mieszkańców do bramy, gdzie rzeczy były złożone. Tam ujrzeli matkę pasującą się z pomocnikiem

komornika, który chciał się oddalić z obrazem, i błagającą o wstrzymanie drugiego co schodził z klęcznikiem.

Lecz domownicy głusi byli na jéj rozpacz, ona karmiła chciwą ich żądzę ciekawości, i stanowiła zajmujące widowisko dla nieczułéj tłuszczy.

A głos boleści brzmiał ciągle i zwrócił uwagę kilku osób przechodzących ulicą, między innemi człowieka wzrostu słusznego, szlachetnych i zajmujących rysów twarzy; cechował je wyraz łagodności i dobroci, usta zaś barwił miły uśmiech, i teraz tylko na widok smutnéj sceny, twarz przybrała znamię powagi.

Dlań nieobojętnym był widać głos rozpaczy i boleść bliźniego przemawiała do najtkliwszych uczuć serca.

Zatrzymał się, badawczém okiem przejrzał całą gruppę, i zapytał w niemieckim języku, jednego z obecnych niemców, o bliższe okoliczności.

Wówczas matka, ujęta szlachetnością rysów nieznajomego i widząc, iż sama już powierzchowność zwiastuje człowieka niepospolitego, znając wspomniony język, opo-

wiadać mu zaczęła szczegóły swego nieszczęścia, a naprzód historyę obrazu.

Z wzruszeniem spojrzał nieznajomy na wizerunek, do którego taką cenę przywiązywano, a wyraz zajęcia, jaki się odbił na twarzy, ustąpił miejsca zdziwieniu.

— Znam te rysy, to portret młodego malarza Ryszarda M.

— Tak, to on, to nasz syn ukochany, lada dnia spodziewamy się jego powrotu, ale mój Boże! biedny chłopak zachoruje ze zmartwienia, skoro nas ujrzy w tém położeniu.—Boże! Boże! czyś nas już na wieki opuścił, zawołała biedna kobieta, zalewając się łzami.

— Cóż spowodowało waszą niedolę? zapytał nieznajomy głosem, w którym brzmiał oddźwięk tkliwego współczucia.

— Mąż mój pożyczył kilkutysięczną summę, cały prawie jego fundusz stanowiącą, jednemu z swoich najlepszych przyjaciół i kolegów kupcowi D., który wyjechał za granicę, aby zakupić do handlu swego, znaczną ilość produktów, i zarazem sprzedać swoje. Najpomyślniejsze mieliśmy wiadomości listowne, gdy nagle gazety doniosły, iż okręt

Śgo Piotra, którym przyjaciel nasz udał się w podróż, miotany burzą morską, wszedł na mieliznę i zgruchotanym został na miazgę. Fale, piszą daléj, pochłonęły wszystkich podróżnych i żaden z nich nie uszedł śmierci. Teraz panie, opłakujemy podwójną utratę: najlepszego przyjaciela i całego majątku. I tak stopniowo, przyszliśmy do najokropniejszego położenia, w końcu wystawieni zostaliśmy na dotkliwą hańbę, tradowania nam ostatnich szczątków mienia, na zaspokojenie komornego. Zwątlone siły męża, nie dozwalają mu już pracować, syn starszy stara się zapewnić sobie sposób do życia, i w obcym kraju doskonali swoje malarskie zdolności. Bawi obecnie w Londynie, i właśnie pisał nam, iż przez wspaniałomyślność jednego z tamecznych panów, który stał się protektorem jego sztuki, zdołał ustalić sobie niejakie powodzenie, a nawet zebrać fundusz, który mu najwygodniéj wystarczy na powrót do rodzinnego kraju. Z każdym dniem jest on spodziewany, lecz zamiast radości i szczęścia, powita go boleść i nędza. Takie to jest przeznaczenie ludzkie, złowrogi los, wówczas nawet gdy

już wiek życia na schyłku, nie dozwala nam swobodnie odetchnąć. I rzęsiste krople łez, zrosiły źrzenicę zacnéj niewiasty, kolana uginały się pod nią, i widocznie tracąc siły oparła się o ścianę przedsionka.

W oku nieznajomego, zabłysła najpiękniejsza łza wzruszenia. Na całéj jego fizyonomii, rozlała się urocza wzniosłość, wszystkie ruchy jego nacechowane były szczególną godnością, a łagodny dźwięk słów jego, rozległ się jak głos anioła, w duszy strapionéj matki.

— Nie... tak być nie może, godniście lepszego losu, i kontent jestem, iż stan mój dozwala mi przyjść wam w pomoc. Ile dług wynosi?

— 500 złp., moglibyśmy uiścić się z téj kwoty, a nawet poprawić nasze położenie, gdybyśmy posiadali dostateczny fundusz, na łożenie kosztów do odbioru zaległości.

— Czy 2,000 wystarczyłyby?

— O! aż nadto, moglibyśmy sobie zapewnić utrzymanie nadal.

— Proszę więc przyjąć je, jako od dobrego przyjaciela waszego syna, i nieznajomy wsunął zwitek papierowych pieniędzy,

w rękę zdumionéj matki, któréj zbytek zadziwienia, zatamował mowę, i nie zdolną była wyrazić podziękowania.

Nieznajomy dodał jeszcze tkliwie:

— Bądźcie zdrowi, życzę wam lepszego powodzenia, a rzuciwszy jeszcze raz na hojnie obdarzoną kobietę, pełne dobroci spojrzenie, szybko się oddalił, unikając wyrazu wdzięczności.

Aby opisać scenę radości zbawionéj rodziny, potrzeba osobnego języka serca, martwe pióro na zimnym papierze, oddać tego nie jest w stanie.

Komornikowi zaś nader się ona dziwną zdawała; pierwszy raz być może, w jego obecności złożono na ołtarz dobroczynności, tak wzniosłą ofiarę. Dlań i jego kolegów, widok ten zbyt był obcym, w wieku gdzie przykłady filantropii tak są rzadkie.

Teraz jednak mina ich, przybrała charakter uniżoności; w poniewieranéj bowiem przed chwilą rodzinie, widzieli obecnie osoby mające sposobność wynagrodzenia oddzielnie ich fatygi, i nadzieja zysku, zmieniła ich role: wprzód skwapliwie zabierali mie-

nie, teraz jak najgorliwiéj wnosili je napowrót.

. . . .

W kilka dni potém, miejsce poprzedniéj biedy, zajął dostatek; zmartwienia, radość i wesele, a trosk, błoga spokojność.

. . . .

III.

Rodzina M., zebraną była przy smacznym gospodarskim obiedzie.

Z twarzy jéj naczelnika, znikł wyraz zgryzoty, zastąpił go rumieniec zdrowia, na ustach igrał uśmiech, słowem, cała postać promieniła się radością.

Matka, któréj lica jaśniały powabem i wesołością, wywołaną nadzieją lepszéj przyszłości, ochoczo rozdzielała pożywny posiłek.

Oboje w chwilach przerwy, z czułością spoglądali na ulubione ich dziecię, cieszące się dobrym apetytem, którego wesołość, nieciła w ich duszy prawdziwą bo rodzicielską rozkosz. Zresztą, dość często milczenie zalegało pokój jadalny, gdy w tém drzwi się rozwarły, i wszedł bryftreger.

To tak prozaiczne indywiduum w materyalném znaczeniu, niemałą gra rolę w dziejach życia moralnego.

Zwłaszcza w gronie naszéj rodziny, przybycie jego wywarło nieopisane wrażenie. Przeczucie mówiło im od kogo on pochodzić może, a głos wewnętrzny sprawił gwałtowne bicie serca.

. . . .

*
* *

Już pieczątka oderwana... już oko lśni się iskrą ciekawości... ręka drży... a ściśnione usta z wykrzykiem radości, wymawiają drogie imię przyjaciela kupca D.

— Od D. zawołał ojciec, więc on żyje... żyje! powtórzył z żywém wzruszeniem, a twarz zajaśniała radością.

— Żyje zdrów i szczęśliwy. Miłosierdzie Boskie uchroniło go, odpowiedziała matka tonem uroczystym. Zwiastuje nam swój blizki powrót.

A w tém spojrzano na datę, pisano w niedzielę w Kownie, dziś czwartek, więc jutro go ujrzemy, ma stanąć w hotelu Wileńskim; o! trzeba nam tam pospieszyć, powi-

tać, powinszować mu że Pan Bóg uchronił go od zguby.

Ot! i chwila radości w życiu człowieka, radości wzniosłéj, ona tylko osładza nam jego znikomość, marność uciech światowych, bo w niéj tkwi cząstka niebiańskiéj rozkoszy.

Wspomnienie dnia tego, niestartemi głoskami zanotowane było w duszy czcigodnego małżeństwa.

. . . .

* *
*

Gmach piękny odznaczający się gustowną budową, ozdabia cały front ulicy Tłómackie zwanéj.

To hotel *Wileński.*

Zaraz przy główném wejściu uderza karta; tam mieszkańcy różnych krajów pobratani z sobą, często składają szereg największych znakomitości.

W téj chwili dwie osoby chciwym wzrokiem przebiegają listę podróżnych, i z lubością zatrzymali go na pożądaném imieniu.

— Przyjechał! zawołali jednogłośnie, i szybko udali się pod wskazany Numer.

* * *

— Jak się masz? jak się macie? rozległy się zobopólne okrzyki.

I przyjaciele utonęli w serdecznych uściskach. Nastąpiła najtkliwsza scena przywitania, potém poufne zwierzenia, i wtedy dopiero poznali rozwiązanie fatalnéj omyłki.

Okręt Śgo Piotra rozbił się w istocie, lecz kupiec D., zawcześnie udał się w podróż napowrót, okrętem *Comerce* zwanym, daleko dlań dogodniejszym. Ponieważ zaś cała osada okrętu Sgo Piotra zaginęła, a kupiec wybrał się nim z miasta rodzinnego, ztąd więc powstała wieść puszczona o jego śmierci.

Jak więc błogiém było rozwiązanie, jak lube dla serca wrażenie szczeréj radości, to tylko ci, co miłują prawdziwą szlachetność—uczuć i ocenić są zdolni.

Z wyrazem najszczerszéj gościnności, ofiarowano przyjacielowi mieszkanie u siebie, kupiec musiał przyrzec iż wyprowadzi się z hotelu wieczorem, a tymczasem towarzyszył im na obiad.

Wychodząc, ujrzeli niezwykłe zbiegowisko ludzi, powiększéj części, z Izraelskiéj klassy mieszkańców.

Zdjęci ciekawością zatrzymali się, chcąc poznać przyczynę nawału, i zapytali się o nią otaczających.

— To wielki mąż naszego narodu, co wkrótce wyjedzie.

— Jak się nazywa? zapytało małżeństwo M.

Wtém rozległ się turkot powozu, opowiadający szybko się obejrzał, wraz z nim i państwo D., i spostrzegli człowieka wzniosłéj postawy, szlachetnych rysów twarzy, w świetnym uniformie, którego popiersie lśniło się uroczo, wspaniałą dekoracyą orderów, wsiadającego właśnie do powozu.

Lecz zelektryzowani zostali najżywszém zdumieniem, gdy w człowieku tak wysokie jak się okazywało, stanowisko w świecie zajmującym, poznali swego uwielbianego dobroczyńcę.

Nagle dał się słyszeć turkot odjeżdżającego powozu, i wraz rozległy się okrzyki:

— Patrzcie! to Moses Montefiore! chluba naszego narodu! Szeryf Angielski.

Już powóz zniknął, tłumy rozchodziły się zwolna, a niemało zdziwiony kupiec ujrzał jeszcze przyjaciół nieruchomie stojących na jedném miejscu, z oczyma zwróconemi w stronę, w którą powóz odjechał.

— Montefiore, powtarzali oboje z wzruszeniem, więc to imię naszego ukochanego dobroczyńcy, Montefiore Szeryf Angielski.

— Panie D., rzekła poczciwa kobieta, z żywém wzruszeniem zwracając się do kupca, czybyś nie był łaskaw, wytłómaczyć nam znaczenia godności Szeryf?

— Jest ona najpierwszą w Anglii, jako godność Prezydenta stolicy, i sprawujący ją liczy się do rzędu Dygnitarzy kraju. Czy państwu Sir Moses Montefiore jest znajomym?

— Nie z imienia ale z czynu, i wspomnienie jego niewygasłém pozostanie w naszéj pamięci, ale to nieco dłuższa historya, opowiemy ją panu w domu.

— O! nieuwierzysz pan, jaką to nam rozkosz sprawia, iż wiemy teraz za kogo wznosić mamy modły do nieba. I jeszcze

nam tylko brak obecności syna, aby szczęście nasze było zupełném.

Jeśli się niebawem ziściło czytelniku, to życzenie, czy uwierzysz, iż szczęście istnieje na ziemi?

IIII.

W mieszkaniu rodziny M., znów radość i wesele.

Obchodzą powrót syna, uwieńczonego sławą artystowską, a grono życzliwych przyjaciół, szczerze dopomaga tak błogiej uroczystości.

Wszyscy winszują młodemu artyście, zaszczytu przyjęcia go za członka Akademii Sztuk Pięknych w Londynie, i z zachwyceniem oglądają utwory jego talentu.

Rozmowa z zajęciem jest prowadzoną — młody człowiek po kilku latach rozłąki, ma tyle do opowiedzenia, i zarazem pragnie poznać nowiny, dawnego niewidzianego kraju rodzinnego.

W toku opowiadania, wiele głosów to-

warzystwa, zapytało młodego człowieka, zkąd czerpał środki, do wydoskonalenia swoich zdolności; wiedziano bowiem, iż stan majątku rodziców, nie dozwalał im zaspokojenia wszystkich potrzeb syna artysty.

— Znalazłem człowieka szlachetnego, co zajął się moim losem, on w pierwszych szkicach nieudolnéj ręki, które ośmieliłem się mu, jako znawcy i protektorowi naszéj sztuki ofiarować, odkrył odcień talentu. Odtąd nie zapominał już o mnie. Wysokiém swojém stanowiskiem jakie zajmuje w świecie, otworzył mi wstęp do najznakomitszych domów stolicy, pobratał z najcelniejszemi artystami i wykołysał zarody zdolności. Złota, którego mi brakowało, on mi dostarczył — niedość więc, iż zapewnił mi los życia — udarował mię jeszcze sposobnością oglądania swojéj rodziny. O! wierzcie mi państwo, dodał młody artysta z zapałem, z wdzięczności dla niego życie bym poświęcił — o! bo on godzien tego. Szlachetność swojego sposobu myślenia, udowodnił czynami całemu światu. Ale pocóż powtarzam to, o czém wszyscy wiedzą, wszak dość usłyszeć jego imię, aby powziąść nie

mylne przekonanie o prawdzie słów moich.

— O! wymień nam je pan, prosiemy, zawołało całe towarzystwo z żywą ciekawością.

— Często napotykaliście je państwo w gazetach, gdy była mowa o jakiém filantropijném przedsięwzięciu. Nosi je: Szeryf miasta Londynu:

Sir Moses Montefiore!

— Montefiore! powtórzyło towarzystwo z przyjemnością, to imię i u nas słynném jest z dobrodziejstw.

— Montefiore! powtórzyli rodzice z najżywszém wzruszeniem— podczas gdy ich powieki łzy wdzięczności zrosiły. Synu, ten człowiek wielkim się okazał i dla nas, posłuchaj naszego opowiadania.

. . . .

IV.

Niespełna w dwa lata po opisanych wypadkach — w bogato przybranym salonie Londyńskiego pałacu, na adamaszkiem powleczonéj kanapie, jakiś mężczyzna z wonném cygarem w ustach, leżał oparty o złotolite wezgłowie poduszek.

Na jego oblicze zaległo piętno zadumania — wyraz jego często się odbije na wysokiém czole — bo ono to raz zmarszczy się odcieniem nieukontentowania, to znowu przyjmie piętno pogody — gra uczuć często także przegląda się w zwierciedle oka, i już ono żywszym zajaśnieje blaskiem; już też z pod zwieszonéj rzęsy słaby zaledwie miga odblask.

W salonie cisza głęboka, jest to widać jedna z owych chwil, które lubiemy choć

raz na dzień wynaleść, aby dać wolny popchop myślom i korzystać z miléj samotności.

Lecz kilka zaledwie minut tak przeszło, gdy drzwi się otworzyły, i pokojowiec oznajmił odwiedziny młodego Ryszarda M.

— Prosić, prosić, odpowiedział pan domu z widoczném zadowoleniem.

Niebawem, wszedł artysta do pokoju z jakimś zakrytym przedmiotem w ręku, ukłonił się z godnością i wyrzekł tonem uszanowania:

* * *

— Przepraszam JW. Pana, iż śmiem go trudzić swą osobą, lecz obowiązek nakazuje mi wywiązać się o ile można z świętego długu wdzięczności.

— Tylko bez ceremonii artysto, odrzekł Szeryf, przyjaźnie podając rękę młodemu człowiekowi, który ją z uszanowaniem uścisnął— bądź jak w swoim domu, i powiedz mi naprzód jak się masz? a potém będziemy rozprawiali o długach.

— Zdrowie moje jest w najpożądańszym stanie, lecz jakże może być inaczéj gdy kto

w tobie znalazł protektora, cieszą się nim również i moi rodzice, którzy błogosławić cię do grobu nie przestaną, i mnie zlecili zaszczyt zwrócenia ci, panie, długu i wyrażenia dozgonnéj wdzięczności za dobrodziejstwo, któreś im tak zbawiennie w Warszawie wyświadczył. Jako słaby jego dowód ze strony syna, raczy JW. Pan przyjąć tę pracę moją i udzielić jéj łaskawego pobłażania.

Tu młody człowiek, odsłonił przyniesiony przedmiot, a czcigodny Szeryf z rozrzewnieniem ujrzał piękne malowidło, przedstawiające najtrafniéj i z prawdziwym talentem i wypracowaniem oddaną scenę na Lesznie; u spodu był napis:

SIR MOSESOWI MONTEFIORE

WSPANIAŁOMYŚLNEMU DOBROCZYŃCY

RODZINY M.

W HOŁDZIE POŚWIĘCA

WDZIĘCZNY SYN

Ryszard.

— Dziękuję ci, dzielny młodzieńcze, ofiarę tę policzę do rzędu najmilszych pamiątek. Powiedz otwarcie czém ci służyć mogę, jestem gotów z największą przyjemnością.

— O! nie, panie, dziękuję ci, kto inny ma już prawo do twoich dobrodziejstw, niegodnie by już było z mojéj strony nadużywać twoich względów, i owszem panie, pozostaje mi jeszcze dopełnić obowiązku rzetelności i kwotę, ktorąś szlachetnie udzielić raczył moim rodzicom, w chwili gdy jak zdawało się los już bez nadziei pogrążył ich w nieszczęsném położeniu, zwrócić ci teraz z najżywszém dziękczynieniem.

— O! co na to, bynajmniéj nie pozwolę panie Ryszardzie, przyjm to już nie jako pożyczkę, lecz jako mały upominek od przyjaciela, bo inaczéj na serjo mię zmartwisz.

— Nie śmiem się Jaśnie Panu sprzeciwiać, bo wola twoja jest dla mnie prawem.

Rozmowa zwróciła się na inny przedmiot, i młody malarz spędził jeszcze kilka najprzyjemniejszych chwil w swojém życiu. Potém czule pożegnał ich dobroczyńcę, który z zwykłą uprzejmością zlecił mu pozdrowić od niego rodziców.

Nazajutrz Ryszard M. opuścił Angliję, unosząc w sercu nowe wspomnienie o człowieku najszlachetniejszym, o Sir Mosesie Montefiorze.

Któż więc teraz, wraz z nami nie powtórzy, że:

Miłą jest litość sercu i duszy,
Ona słodyczą poi oboje;
Nawet zimnego człowieka wzruszy,
Tam gdzie mu nędzy otwiera podwoje.
Erebem oku rozpaczy siedlisko,
Farba tam smętna—głos tkliwéj boleści,
Iak smutną prawdę człeku obwieści!
O! dość ją wcielić do uczuć ogniska.
Rozkosz litości, to z niebios kropelki,
Era duszy—jeżeli czci ją człowiek wielki!

KONIEC.